



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ELŻBIETA BARRETT-BROWNING.

Anglia jest krajem znakomitych filantropów, kobiet uczonych i pisarek. Nigdzie kobieta nie zaznacza się tak wśród społeczeństwa swojego we wszelkich kierunkach szlachetnej działalności społecznej, nigdzie też niema tyle kobiet piszących; co w Anglii. Prasa peryodyczna zajmuje bardzo wiele piór kobiecych; wśród niezmiernie płodnej literatury powieściowej na dział kobiecej produkcji silnie znaczna większość przypada, a nawet jak obecnie najznakomitszymi powieściopisarzami angielskimi są kobiety: Jerzy Elliot (Mrs Lewes) i Ouida (De la Ramée). Jest również w tej części literatury wiele mniej rozgłoszonych, a przecież wysoko utalentowanych pisarek, jak Mrs Oliphant, Miss Thackeray, autorka „Johna Halifaxa“ wreszcie Irlandka Anna Keary, której szlachetną powieść pismo nasze obecnie w dodatku podaje i której zapewne tylko czasu potrzeba, aby zyskała pierwszorzędną sławę. Ale zato powiedzieć można, że Anglia nie ma poetek. Z dawniejszych czasów ani jedno imię kobiece nie zajęło miejsca w historii literatury, w ostatnich latach zaznaczyć zaledwie można Miss Chrystynę Rossetti, Mrs Smedley i jedna tylko postać kobiety angielskiej ukazuje się w aureoli prawdziwie poetycznego blasku. Jest nią Elżbieta Browning, z domu Barrett, zmarła w 1861 roku, a pamięć jej właśnie tak mało interesu zdaje się budzić wśród publiczności jej narodu, że dopiero obecnie wydana korespondencja z jej lat młodych—Listy Elżbiety Barret do R. H. Horne'a—pozwala ją zrobić sobie o niej, jako o istocie ludzkiej, jakiegokolwiek wyobrażenie. Mimo wielkiej sławy, wielkiego uznania, tak ze strony

czytającego ogółu, jak krytyki, która niejednokrotnie—i słusznie zdaniem moim—stawiała ją wyżej od poety laureata, Tennysona, nietylko nie istnieje żaden jej życiorys, ale wśród tak niezmiernie licznych w angielskiej literaturze pamiętników i korespondencji różnych pisarzy, ledwo że wzmianka jakaś znajdzie się o niej. Śladu jej jako istoty żyjącej i działającej wśród ruchu towarzyskiego kół literackich niema prawie: kilka wierszy we *Wspomnieniach* powieściopisarki Miss Russel Mitford, kilka wierszy w pamiętnikach Miss Martineau i nie nadto. Gdy, na przykład, taka Miss Martineau, średnia jako talent w obranym zakresie prac moralno-ekonomicznych, przytem niezamożna, nieurodna i wpełgłucha, charakter ostry, surowy, tak umiała stać się wpływową, przyciągać do siebie wszystkie osobistości wyższe swego społeczeństwa, gdy był w koło jej osoby taki ścisł niemal, że trzeba było nietylko pewnej protekcyi, ale jakiegoś tytułu wyższości, aby się do niej dostać: ona, talent niezaprzeczenie niepospolity, przez urodzenie należąca do klas wyższych, co w Anglii niemało znaczy, a choć delikatna i słabowita—była piersiową—niemało piękność, istota powabna, słodka, dobra, nie zdaje się istnieć dla nikogo. Uderza to i zarazem stanowi już charakterystyczny rys kobiety i poetki, wykazuje wielką idealność natury delikatnej, która hołdów nie żąda, ambicją nie popychana, blasku nie szuka i jak liść od drzewa, od rodziny swej się nie odrywa, a żyjąc całkowicie uczuciem tworzy i pisze tak, jak śpiewacy jej rodzinnych lasów i ogrodów—z potrzeby twórczej, którą Bóg wlał jej w piersi.

Mąż jej—też poeta a poeta również wyższego uznania—nazwał ją niegdyś w tkliwej inwokacyi słodką nazwą: *Księżycą poezyi*; ma też jego urok, łagodność, delikatność, poezye jej noszą cechę żywiołu niewieściego, niemniej przecież nie brak jej gorącości uczucia i gdyby jej społeczeństwo zawrzało było kiedy takimi naprzykład wzruszeniami, jakie otaczały i unosiły Erminię Fusinato, byłaby wyrwała

się w porywie gorącym poza ciche sady swojej włości rodzinnej—Hope End—i zmieszała się z prądem żywego życia, starła z tłumami ludzi włączyła w rzeszę, dążące z zapałem do celu swego. Nie jest to przypuszczenie luźne, bo zobaczymy ją kiedyś we Włoszech zmienioną, przerodzoną niejako, wyszłą poza nastrój swój zwykły i uderzającą namiętnie w inną, milezącą dotąd strunę swej lutni. Przymiot księżycowości odnieść trzeba więcej do jej osobistości niż do natury jej talentu, i krytyk francuzki, Léo Quesnel, porównując ją z Tennysonem, przyznaje jej więcej siły i ognia. „Jeżeli nie posiada stale doskonałej poprawności, ciągłej piękności formy poety-laureata, ma więcej gorącości i energii“, pisze w studyach swych nad nią, a i ja zgadzam się najzupełniej na to zdanie, bo często jeden liryczny wierszyk, sonet Elżbiety wzruszył mnie silniej niż całe poemata Tennysona, podobne dla mnie do krystalicznie czystej wody, która się z miarowym, jednostajnie przyjemnym szmerem z marmurowego basenu wylewa.—„Poezycie moje—pisała młoda jeszcze bardzo w korespondencji swojej do Ryszarda Hengist Horna—są usiłowaniami wyrażenia tego, co mam w sobie, co jest w naturze mojej“—i widocznie prawdą to było najzupełniejszą, bo wszystko, co tworzy, ma cechę niezatarłą oryginalności. Gdy też krytyk Leigh Hunt, nazwał ją siostrą Tennysona, ona przystać na to nie chce, czując, że tak bynajmniej nie jest; a jakkolwiek przy wziętości uwiecznionego poety to pokrewieństwo w Apollinie mogłoby jej być pochlebnie tylko, wypiera go się w liście do Horna mocno, choć w pół żartobliwie. Cała ta korespondencja datuje z bardzo młodych lat poetki i ma też w sobie tę delikatną woń dziewczyczości, która czytanie jej czyni dziwnie miłym, bo myśli są już głębokie, a wyraz posiada niemniej naiwną prostotę i wdzięk oryginalnej świeżości, pociągający jak wszelka młodość czysta i piękna. Młoda dziewczyna jest współpracowniczką peryodycznego wydawnictwa Horna, pisze w listach swoich o jego utworach, o swoich,

których wartości nie zna, choć ich bynajmniej przez udaną skromność nie poniewiera. Wszakże pragnie w nich, odbić ducha swego i liryczne jej poezye z tej epoki, ciepłe uczuciem szczerem i prawdziwym, posiadają już wszystkie zalety, cechujące jej talent w późniejszym rozwoju. Gdy czytamy karty tej korespondencji między redaktorem a współpracowniczką, mimowoli przypomina się Kaźmiera Gabryeli (Żmichowskiej) i jej listy do korektora dziennika, któremu nieznaną pracę swe przesyła. Stosunek zupełnie inny, a jednak istnieje pokrewieństwo ducha między tamtą fikcją a tą prawdą. Horne chciał otrzymać od korespondentki swojej pewien rodzaj autobiografii, żądał tego w imię łączącej ich przyjaźni, ale Elżbieta prosi jak o łaskę, aby od żądania tego odstąpił i pisze: — „Jestto to samo, jakgdybyś pan chciał od ptaszka, który nigdy z klatki swej nie wyfrunął, dziejów jego żywota. Całe moje życie i wszystkie jego radości w sercu miały miejsce swoje. Żyłam dotąd życiem wewnętrznym, w którym myśli i uczucia zastępowały wypadki. Zaczęłam składać wiersze w ósmym roku życia, jak to czyni wiele dzieci, i w tem może jest różnica pewna, że już wtedy kochała tę melodyjną formę myśli, że tworzyła na jej rachunek plany przyszłości, przysięgając poezyi wierność dożgonną. I była też ona odtąd celem życia mego, ja miałam na pamięci przy wszystkich moich naukach, czytaniach, z nią się łączyła cała praca myśli mojej. Uśmiełbyś się pan niesłychanie, gdybym zaczęła cytować wszystkie moje liryczne, dydaktyczne, epiczne poemata, które wydekłamały dziecięce me usta, wzywając muz starszerek. Grecy byli dla mnie narodem półbogów, Agamemnon snił mi się częściej niż kary mój kucyk, którego wtedy właśnie dostalam. W dwunastym roku napisałam epopeję w czterech księgach: *Bitwa Maratońska*, mój drogi ojezulek, który psuł mnie zawsze, dał ją do druku. Jestto przeróbka, a raczej trawestacja Homera Popego. Pope, a raczej ten jego Homer, w którym rozkochałam się gorąco, popchnął mnie do studyowania Grecyi i nauki greckiego języka. Łacina i starożytności rzymskie przysłyły w dalszym ciągu, jako konieczne rzeczy następstwo. Mieszkałam wtedy, jak niemal całe życie, w Hope-End, niedużej włości naszej, o kilka mil od Malvern. Jestto ładna miejscowość, i z wielu względów szczęśliwą byłam w jej ustroniu, gdzie jedynie książki i myśli własne rozrywały cichą samotność. Słodki spokój, jakiego tam używałam wtedy, wzrusza mnie, gdy teraz myślę o nim. Pope, Byron, Coleridge: to było towarzystwo z którym żyłam, roznamietniając się kolejno, to do jednego, to do drugiego, a książki greckie czytywałam w cienistych ogrodach naszych z taką samą — ręczę panu — powagą, jak Oxfordzycy wasi w bibliotece uniwersyteckiej. Głowa zaludniała mi się widziadłami, które przysyłał mi Platon, Sofokles, Eschylos: piłam pełnemi ustami poezyą i słonecznością Grecyi. Potem przyszło cierpienie: zdrowie odbiegło mnie, uciekło odemnie zupełnie, choć nigdy nie byłam mocną i w dzieciństwie sądzono kilka razy, że już umrzeć muszę; nieco później druk *Serafina* jedyne mego utworu, który chcę za duchową moją własność wyznawać, nakoniec przymusowe wygnanie do Torquay (miejscowość nadmorska, gdzie ją zawieszono słabą, dla wzmacniających wpływów morza) wstręt przecuciowy do tego miejsca, tajemnicza przepowiednia nieszczęścia pełna strasznej a męczącej trwogi: okrutny sen, który przekazał na zawsze rzeczywistości mego życia marę swą przerażającą, obraz nie mający już nigdy zniknąć z przed oczu moich i odejmujący mi na zawsze spokojność i wesele.“

„Już nie więcej, już nie nadto.... Widzisz więc pan sam, że nie ma materyałów żadnych do pisania o tem i błagam też pana, nie czyni tego: nie pisz nic o mnie ani sam, ani nie udzielaj nikomu nic ze znanych ci szczegółów: moje życie to karta biała“....

Ostatnie wiersze odnoszą się do ciężkiego nieszczęścia rodzinnego, za którego przyczynę uważała siebie. Brat jej utopił się w Torquay pod jej oczyma. Słaba, leżąc na łóżku przy otwartym oknie, widziała młodzieńca pływającego w łódce po morzu zupełnie spokojnym, lecz nagle łódka się przewraca i fale pochłaniają ofiarę prawie w okamgnieniu. Tak zachorowała, że ledwie zdołano ją wy-

wieźć z miejsc nienawistnych jej od początku w sposób rzeczywiście szczególnie, płynący z tajemniczego jasnowidzenia. Pęknięcie krwionośnego naczynia w piersi postawiło ją u wrót śmierci; przez długi czas nie mogła znieść światła dziennego i przebywała jedynie w pokojach zaciemnionych, lata zaś upływały, zanim zdrowie wróciło jej zupełnie. Pisze w jednym z sonetów swoich, że czekała już anioła śmierci; a tu wezwał ją anioł miłości....

Miłość ta była kwiatem spóźnionego rozkwitu, który przeszedł dać woń swoją po ubiegłej już wiosnie życia, ale wiosna serca trwała jeszcze przedłużona przez okoliczności wyjątkowe. Żyła w lesie zaczarowanym — w *Gaju zaginionym* — *The Lost Bower* (tytuł jednego z jej wierszy) w krainie ideału i poezyi, z naturą i widzeniami swego. Kochała w snach swoich poetycznych, kochała przez twórczą fantazyę swoją i przechodziła idealnie wszystkie fazy gorących serca umiesień. W poemacie: *Lady Geroldine Courtship* (Swadźba o lady Geroldine), który uważać trzeba za najsilniej, najgoręcej napisany jej utwór, świetnym jest malowaniem uczuć miłosnych w walce z przesądami świata. Kochanek ubogi i nisko postawiony, kochanek mający w żyłach krew ludu, więc dostający jak z łaski miłość kapryśną i niepewną siebie, nagle zrywa się niby lew zraniony, targa pęta, w których go trzymały uroki kobiety i chłosta ją słowami „gorącemi, jak chmura piasku, który miota pałacy huragan pustyni“. I oto dumna córka wyniosłego rodu wtedy dopiero zaczyna kochać prawdziwie, gorąco, tak jak kobieta powinna kochać mężczyznę, którego wysokość czuje, którego wysokość uznaje. Apoteoza takiej miłości oddana jest przez poetkę dziwnie krótko, zwięźle, silnie, nie wypowiedziana słowami bohaterki, ale odmalowana przez jej ruch, razem pokorny i namiętny, będący jednocześnie ofiarą prześlągalną za przeszłość i wyrazem uczucia gorącego w tej chwili. Przyjęcie tego przez mężczyznę, razem tklive i wyniosłe, wdzięczne, a jednak tak dokonane, jakgdyby to uważał za rzecz sobie należną w zamian za uczucie jego serca, za jego miłość mężką, ma rysy niemal genialne.

Bardzo pięknym także jest nieduży poemcik: *Pieśń o księżniczce Mainie* (May). Rzecz to prowadzona z prostotą balady średniowiecznej i trzymana w jej nastroju, zrazu spokojnym i łagodnym, rozgrzewającym się, roznamietniającym coraz, aż staje się pełną tragiczności i wysokiego patos w końcu. Tu stary ojciec-książe pragnie wydać dziewczę za niekochanego człowieka, za człowieka nienawidzonego dlatego, że chce się podstawić w miejsce tego, który „jest droższym jej nad życie i wszystko, co życie mieści w sobie.“ W ostatniej chwili księżniczka ucieka do tego „najdroższego“, zwołony most jego zamku podnosi się za parą świętym ślubem już związaną; ale odrzucony konkurent goni ich i oblega, tłucze mury i stawia do nich drabiny. Niema już rady i nadziei, a oblubienica słyszy, że oblubieniec każe masztalerzowi wieść swego wojennego rumaka na szczyt najwyższej wieży zamkowej i domyśla się do jakiej-to walki, do walki z kim, dosięść go zamierza. Więc i ona się gotuje: przywdziewa biały strój panny młodej, dosiada konia wraz z małżonkiem, i uściskiem związani, ciskają się razem w dół, aby stać się jedną masą krwi i pomiażdżonego ciała. Kiedy on się opierał jej udziałowi w śmierci okrutnej, ona woła: — Czy chcesz aby *tamten* mnie dostał i zrobił swoją? a taka zgroza, taka rozpacz jest w tych słowach, że on się już nie waha i tragedia się rozgrywa.

Jeżeli brak jest wspomnień, mogących malować nam w szczegółach życie poetki, zato istnieje dość obrazów i rycin odtwarzających jej wdzięczną, powabnie słodką postać. Mała, bardzo wątła i wyraźnie słabowita, wywiera przecież urok wielki przez rysy drobne, delikatne, niezmiernie łagodne i intelligentne. Błada i matowo-biała, z włosiem czarnym bardzo obfitym, spadającym na ramiona w jedwabistych pierścieniach, ukazuje czoło szerokie i gładkie jak marmur, nieco wypukłe; oczy bardzo piękne, duże, głęboko osadzone, z gęstą brwią czarną, co razem nadaje istocie wiotkiej, niemocnej wyraz siły duchowej i tworzy kontrast uderzający i razem przykuwający wzrok do tych lic-

kobiet, nie tyle pięknych w zwykłym znaczeniu tego słowa, ile czarujących mocą inną. Gdy „zamiast śmierci wezwał ją anioł miłości“, dobiegała już lat czterdziestu, przecież zachowała się dziwnie młodą, i jak piszą, portret jej z tej epoki przedstawia dziewczę prawie, którego oczy tęskne, a przecież zdolne do spojrzeń gorących, namiętnych, zdają się zdradzać, że dopiero marzy o życiu, ma dopiero jego przecucie i pożądaną niepewność. Że wychodząc za mąż kochała gorąco, po dziewczęcemu, został tego ślad w *Pamiętnikach* Miss Martineau, z którą Elżbieta zostawała w stosunkach listowych, i do której napisała też przed wyjazdem do Włoch, gdzie małżeństwo spełnić się miało, że czuje się zdrową zupełnie, że śpieszy skąpać się w słońcu włoskim, i zakończyła: — „Nie można wypowiedzieć, jaką szaloną rzeczą mogę zrobić“ (There is no saying, what foolish thing I may do). Przecież rzecz którą robiła, zaślubiając w Pizie Roberta Browning, „pokazała się rzeczą bardzo mądrą“, zdaniem Henryki Martineau, która, bardzo surowa w sądach o ludziach, mało kogo i mało co chwaliła. Elżbiety nie znała ona osobicie, ale znała dobrze i dawno Roberta Browning, i wysoko go ceniąc, nazwała w *Pamiętnikach* swoich „a real genius.“ A nietylko poeta zasłużył sobie u niej na tak wysokie uznanie: ma go w pełni i człowiekiem, o którym też pisze: „Jak dobrym był, jak mądrym i silnie moralnym, dowodzi szczęśliwe powiedzenie się niebezpiecznej próby: „małżeństwa poetki z poetą.“ Miss Martineau, natura pozytywna i zupełnie różna od Elżbiety, nie mogła sądzić czem dla niej właśnie był związek z poetą. Poezye Elżbiety podobają jej się niby, nazywa je pięknymi, ale dodaje, że wolałaby w nich „więcej realności, dołożonej do szali idealnej koncepcji.“ Przecież męża i żonę nazywa razem „a remarkable pair“ i dodaje, że towarzystwo ich może przynosić tylko zaszczyt i przyjemność.

Od chwili zamężcia i zamieszkania we Włoszech, Elżbieta oddała się, z większym niż kiedy, zapalem studyowaniu sztuki i poezyi starożytnej; krytyka wysoko też stawia jej poezye pisane w Rzymie, duchem i wzorami klasycznymi przejęte: *Oda Anakreona do jaskółki*, *Cyklopy*, *Umarł wielki Pan*, przecież wielkie wzruszenia wstrząsające wtedy Włochy — przybyła tam 1847 r. — porywają ją i przenikają ogniem swoim, zmieniają nastroj jej uczuć i wyprowadzają z krainy ideału na grunt zapasów ziemskich, ziemskich walk i niepokojów. Poemat jej napisany w 1851 r. zawiera namiętny wyraz jej nowych uczuć: *Casa Guidi Windows* (Okna domu Guidi). Zapal szlachetny, którym utwór ten jest przejęty, przynosi zaszczyt kobiecie i odkrywa nową stronę talentu w poetce; ale utwory okolicznościowe rzadko wytrzymują próbę czasu, i tak się też stało z politycznymi poezyami angielskiej pisarki. To, co jest w nich nieśmiertelnie ludzkim, na nieśmiertelnych w ludzkości uczuciach opartem, pozostanie na zawsze pięknem i do wszystkich dusz mówiącem; ale jej gorące uwielbienie dla Napoleona III, w którym widziała bohatera wskrzeszającego z popiołów „Niobę narodów“ — Italię, dziś już nie wzrusza i nie przejmuje. Umarła roku 1861; ona więc sama nie dożyła Sedanu i nie widziała jak smutnie i lichy upadł ten, w którym widziała wielkodusznego męża Opatrzności.

Wogóle utwory jej z lat ostatnich są wiele słabsze, i sława jej opierać się musi przeważnie na poezyach z epoki pierwszej; *Sonet* i *Elegie*, których na nieszczęście znam nie wiele, stanowią sławy tej podwalinę. Nie znam również: *Kochanki Kamoënsa*, bardzo cenionej i *Dramatu wygnania*, także z tych lat pierwszych. W roku 1844 wyszło pierwsze zupełne dzieło jej wydanie. *Aurora Leigh* poemat obszerny, napisany później, jakkolwiek cieszy się uznaniem krytyki angielskiej, dla mnie przecież jest słabszym od wspomnianych wyżej. Mimo upominań się Henryki Martineau o większą domieszkę realności, natchnienie Elżbiety Browning słabło zawsze, gdy tylko zastępowała w rzeczywistość powszedniejszą, w życie dni dzisiejszych. Idealne postacie, wyprowadzone przez twórczą jej fantazyę z cieniów zamierzehłej przeszłości i przeniknione jej uczuciem, posiadają wzruszające piękno jej utworów lirycznych, wyszłych również z tego uczucia i uczuciem tem żyjących. Głównie przecież powiedzieć-by można, że z chwilą pełniej-

szego życia i szczęścia serca, z chwilą małżeństwa, dawna siła poetyczna opuszcza ją. Czyżby natchnieniem tej duszy kobiecej była tęsknota i przecucie, marzenie w *Gaju zaginionym*? Cieniste ogrody małej dolinki Hope-End nad cichymi wodami jeziora — to jej Parnas. Do ciekawych rysów jej życia należy szczegół, że wśród tych ogrodów znajduje się jej ogródek w dziewiątym roku życia dla niej założony, według jej własnego planu, którego rysunek miał przedstawiać Hektora powalonego. Cudownie poetyczne dziecko, które w dziewiątym roku życia marzy o trupie Hektora, a w dwunastym pisze poemat o Maratonie. Można też kobiecie przebaczyć, że kiedyś czytała jak bohatera Napoleona III: duszy jej potrzeba było uwielbienia dla heroicznej wielkości i szukała jej; czasy nasze nie miały nic, coby dać dla jej czci — i tworzyła sobie mrzonki zawodne.

Trzeba dołożyć na zakończenie, że krytyka angielska uważa Elżbietę Barrett Browning za najuczeńszą w swoim czasie kobietę angielską. Miss Russel Mitford pisze o niej w swoich *Reminiscences*, że „przeżyła wszystko, co tylko jest do czytania, we wszystkich możliwych językach”. Umiała i po hebrajsku, biblię czytywała też w oryginale i w listach młodego dziewczęcia do Horna jest ustep taki: „Kiedyś bez opuszczenia jednego werseku przeczytała Biblię, począwszy od Genezy aż do końca, potem Platona i wszystkich poetów greckich, nie opuściwszy ani wiersza, rzuciłam się z apetytem zupełnie świeżym na góry angielskich i obcych romansów, możliwych i niemożliwych, pożerając trociny metafizyki.”

Piękna to postać kobiety i poetki, czysta, szlachetna i bogata tak przez umysł jak przez serce.

M. Ilnicka.

SĄSIĘDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Po chwili mileżania komornik bąknął:

— Byłbym miął, ale Czemeryński z gościńca mnie kazał zawrócić.

— O! o! cóż-to?

Zbliżył się do gospodarza Kaczor i, naśladując mimikę sędziego, pokazał na dłoni jakby pieniądże liczył.

Strukezaszyc się rozśmiał.

— A to dobrze!

— Pan mu ich nie da przecie? — odezwał się szlachecko komornik.

Hojski włożył ręce w kieszenie, zapatrzył się w komin, podszedł i polanko przyłożył: nie odpowiedział nic.

Po długim przestanku odwrócił się:

— Cóż tam? kuso?

— A kuso! bo państwo, widzę, kosztuje.

— *Czomu ne szalyty, koly przystupaje!* — krzyknął Strukezaszyc, przykładając drugie polano na ognisko.

W tem, o gościu się dowiedziawszy, nadeszła, w białym czepcu z szafranowemi wstęgami, panna Blandyna. Kaczor ją w rękę pocałował.

— Acan dobrodziej na postną wieczere trafiliś — co ja mu dam? he? u nas dziś mleko i kaszka z grzybami.

— Karaj Boże do wieku! — odezwał się komornik. Chciałbym to w domu codzień mieć.

Zaczęto zaraz po chwili rozpytywać o Łopatycze. Komornik tak się tu umiał maskować i przybierać postawę przyjacielską, że Strukezaszyc go za swego miał.

Panna Blandyna, pomimo groźby, że wieczera mlekiem i kaszą się obejdzie, wyszła, aby napręde

dokomponować naleśniki. Mężczyźni zostali znowu sami.

— Gdzie ty im tych pieniędzy będziesz szukał? — spytał Strukezaszyc.

— Albo ja wiem!

— Dziej o to niełatwo.

— I jak!

Hojski żywo chodzić zaczął po pokoju. Widać było, że walczył z sobą, że się wahał i że myśl jakaś go żywo zajmowała. Nagle stanął.

— Słuchaj ty mnie uważnie.

— A i owszem.

— Widzisz, to tak jest — jam weredyk — mówił Strukezaszyc urywanemi frazesami. Ty jesteś biedny, dosyć mi sprzyjasz.

— O!

— Nie przerywaj! Dosyć mi sprzyjasz, ale ze strachu na dwóch stołkach siedzisz. Nie przerywaj. Ja cię mogę dźwignąć — ale —

Palec położył na ustach, a komornik w zapale obie ręce długie i kościste do piersi przycisnął.

— Rób mnie interesa, nie im, nie tym łajdakom, nie temu czarnawczykiemu mieszcuchowi, co się dmie darmo.

Komornik wciąż jeszcze ręce cisnął do piersi, na znak szczerości afektu.

— Nikt na świecie wiedzieć o tem nie będzie — dodał Strukezaszyc. Poszli razem do okna.

Hojski pocichu, ale szybko począł coś szeptać, wygadał co miał, trzymając za guzik komornika, i, skończywszy, oddalił się ku kominowi.

Kaczor jak wmurowany stał długo przy oknie. Nie mówili nic.

— Chcesz — dobrze — dorzucił Strukezaszyc — nie — to nie.

— Ale chce! chce! — wybuchnął zbliżając się komornik i za ręce chwytając gospodarza. — Chce — tak mi Boże dopomóż. Ale — chudy pacholek jestem, na prześladowanie się wystawić nie mogę. Jak mnie pan zdradzi, żonę i dzieci mieć będziesz na sumieniu.

Strukezaszyc, mileżąc, poszedł do stolika, na którym stał krucyfiks, wziął go w ręce i przed Kaczorem, schyliwszy się, w nogi Chrystusa pocałował. Co uczyniwszy, postawił krucyfiks na swem miejscu.

Była to przysięga, a kto starego Hojskiego znał, ten wątpić nie mógł, że on jej, gdyby życie dać przyszło, nie zdradzi.

Komornikowi twarz się wyjaśniła.

— Wszystko będzie jak pan nakazesz — powiedział, wszystko.

Dano wieczere; jadł Kaczor tak, jakby w Łopatyczach na obiedzie nie był. Zamknęli się potem w kancelaryi Strukezaszycy nad jakimiś papierami, z których gospodarz dyktował a komornik pisał. Trwała ta konferencya do północy blisko, poczem Hojski, resztę pacierzy domówiwszy, spać się położył. Nazajutrz dodnia Kaczora już nie było; ale p. Blandyna oddawna w tak dobrym humorze brata nie widziała. Nadzwyczaj rzadko mu się zdarzało nucić, a nazajutrz wieczorem z drugiego pokoju usłyszała jak podśpiewywał.

— Ale to coś osobliwego! — rzekła w duchu, — chyba Czemeryńskim się co zrobiło.

Nie słysząc jednak było o żadnej biedzie w Łopatyczach; chociaż trochę się tam szyki pokrzyżowały.

Ów baron Niemiec, który się zdawał tak do Leonilli przysiądać, nie dał się zaprosić na projektowany bal dla państwa młodych u Czemeryńskiego. Wszyscy wogóle Niemcy natychmiast po weselu wybrali się do Warszawy i Drezna, pod tym pozorem, że Najjaśniejszy Pan bez nich żyć nie mógł.

Tak więc upadła nadzieja uzyskania za pośrednictwem grafów niebieskiej wstęgi. Podkomorzy Buchowiecki nie odmawiał w tem pomocy swej i zięcia protekcyi, lecz zarazem przyznawał się, że Brühlowi trzeba było za to dać *duser*, conajmniej z tysiąca czerwonych złotych się składający, dlatego, że sędzia senatorem nie był; a król mocno się opierał mnożeniu kawalerów bez odpowiedniej kwalifikacyi. Oprócz tego kontrakt tegoroczne wypadały jakoś niedobrze, pieniądże się nie łaowały.

Dochody z Łopatycz rozlażyły się, jak mówił sędzia. Niemal cała nadzieja była na Kaczorze, który miał przyobiecane poręczawicze wcale ponętne. Przez dni prawie dziesięć komornika widać nie

było, ani o nim słyhać. Gdy już zeicha go łajac poczynął Czemeryński, on razem ze szlachcicem się jakimś przystawił. Szlachcic wysiadł naprzód u Sliwki, a Kaczor przybiegł do dworu.

— Są pieniądże?

— Będą — jasnie panie — odparł komornik, ale jest klauzula.

— Pfu! klauzula! jaka! żadnej znać nie chce! Prosty skrypt przy świadkach — i żeby mi go do roku nie intabulował.

— Inna rzecz.

— Cóż innego?

— Szlachcic nie chce kapitału rozrywać, ma całe tysiąc dukatów — rzekł Kaczor.

Czemeryński aż się uśmiechnął i ręką zamachnął.

— To, na waścin młyn woda! — odezwał się — zechcesz poręczawicznego podwójnego.

— Jasnie wielmożny sędzio, po sprawiedliwości — zawołał Kaczor, — o małym karku nie skreślił, a com się nagadał, nakonwinkował! — Chciał jechać do Sapiehów.

Czemeryński wyprawił go po szlachcica. Był nim pan Honory Świerzbinski, zamożny i pracowity Brześcianin, człek stateczny, dawny wojskowy; odegrała się z nim komedia zwykła.

Sędzia przyjął przybywającego po pańsku, zaczął *de publicis*, o koniunkturach politycznych *ex re* Brandeburczyka i cesarza rzymskiego. Świerzbinski był za aliansem wszelakim przeciw niebezpiecznemu sąsiadowi, czyhającemu na Gdańsk, Toruń i Elbląg. Przybyłego tytułowano poręcznikiem.

Zagał wkrótce komornik, iż nie inny był cel odwiezin, prócz powinnego respektu panu sędziemu, jak umieszczenie kapitaliku.

— A! proszę cię, komorniku — wybuchnął Czemeryński — znasz przecież interesa moje, iż pieniędzy nie potrzebuję. Proszę mi się państwo Sawicy z pod Drohiczyzna, z dwoma tysiącami czerwonych złotych, — odmówiłem. Nie mogę. Co z temi pieniędzmi robić! Dóbr nabywać nie chce....

— E! już to tam jasnie wielmożny sędzia znajdziesz sposób na to, aby fruktyfikowały — rzekł komornik, a dla mnie, sługi swego, uczynisz tę łaskę, aby p. poręcznik się z pieniędzmi nie wozik.

Krzywił się sędzia; prowizya sześć od sta zdała mu się exorbitancya; koniec końcem jednek po obiedzie dukaty odliczono i skrypt *manu propria* podpisał sędzia i świadkowie.

Czemeryński dawno tak wesołym nie był; córce na szpilki dał nazajutrz pięćdziesiąt czątych, tyleż żonie i, opędziwszy co pilniejszego, myślał o podróży do Warszawy, dla odnowienia stosunków z grafami, gdy się dowiedział, że król do Drezna wyruszył.

W tym samym czasie ktoby był zajrzał do Sierhina, znalazłby i tam ukontentowanie, które humorowi łopatycykiem nie ustępowało.

Częstszym niż dawniej gościem bywał tu teraz komornik, który do sędziego nie zajeżdżał i nawet gościńca około dworu przechodzący wymijał. Panna Blandyna zauważyła to, że ilekroć Kaczor się zjawił, szedł z nim Strukezaszyc do kancelaryi i godzinami tam przesiadywali nad jakimiś rachunkami.

Niekiedy komornik przywoził z sobą gości, jakich tu dawniej nie widywano, — szlachtę jakąś z okolic bliższych i dalszych.

Gdy ichmoście ci przybywali, traktowano ich obficie, i wprowadzano także do kancelaryi, gdzie p. Blandyna podsłuchiwała razy parę liczenie pieniędzy.

Nadto dobrze znała brata, ażeby go o lekkomyślne lokowanie kapitałów posadzać mogła; wszelako trwoga ją jakaś ogarniała. Strukezaszyc zaś, ani przed siostrą, ani przed synem z interesów swych nie zwykł się być nigdy spowiadać.

Było w tem wszystkim coś tajemniczego.

Pan Erasm, wyprawiony do Lublina, dopiero w wielkim tygodniu na święta Wielkanocne miał powrócić. Było i to utrapieniem wielkiem p. Blandyny, że go nie widziała tak długo.

O to też największy żal do brata miała, iż chłopa za światem gdzieś trzymał.

— Niech się przeciera! — lakonicznie odpowiadał Strukezaszyc.

— W domu też znalazłby i co robić i czem się zabawić, a nam starym tak tęskno-by nie było.

— W domu? co w domu? żeby go znowu Łopatycy pokaleczyli?—mrucał Hojski. Kiedy ja nie mam spokoju, niech choć on go zażyje, póki nań ta bieda nie spadnie.

— Chłopca-by ożenić i na gospodarstwie posadzić—poddawała siostra.

— Nie czas!—sprzeczał się stary.

— A kiedyż będzie czas?—mówiła ciotka,—gdy żeby znacznie tracić? Nie czas! Jegomość-bo nie nie widziałeś u Podkomorzego, jak za nim panny strzelały oczyma, a i on też! Oto!

— Bałamuctwo!

— A ja mówię, bałamuctwo z tego może być chyba, gdy go wczas nie ożenisz. W tym Lublinie lekkich osób, wdówek, pań duszek zawsze dużo. One na takiego kawalera łase, a z tego obraza Boża.

— Ot-byś nie plotła!—zawołał stanowczo Strukczaszyca,—Tylko, aby mnie straszyć! Ja mu żonę wybiorę, napatrzę i sam dam—gdy przyjdzie pora. Inaczej jak z mojej ręki mieć jej nie będzie.

— A to już! prawdziwie powiadam!—odezwiała się p. Blandyna; ale spojrzawszy na brata, musiała umilknąć: sporu z nim nie było sposobu prowadzić.

Tymczasem komornik i szlachta ciągle Sierhin nawiedzała, a czoło p. Strukczaszyca jak nigdy było pogodne i jasne, choć zpod śniegów na polach oziminy wcale się nieosobliwie pokazywały. Żyta były mizerne, pszenicy ani znaku. Wiosna choć wczesna, zwiastowała się zimną i słotną.

W wielkim tygodniu,—właśnie gdy p. Blandyna rozpoczynała przygotowania do pieczenia ciast wielkanocnych, gdy mąkę, siano, migdały i rodzenki przebierano i płukano; korzenne przyprawy ucierano w moździerzach; liczone zebrane jaja, oglądając je naprzeciw światła, czy nie były popsute, rachowano się ze świeżem masłem, i klejono formy do bab — dawno oczekiwany p. Erazm nadjechał. Strukczaszyca, mileczący, uściskał go ze łzami w oczach, ale wzruszenia nie dał poznać po sobie; ciotka mało go nie udusiła, i natychmiast rozpoczęła odkarmianie zgłodzonego. Miała bowiem to najmocniejsze przekonanie, że nigdzie się do syta najęść nie było można, tylko w Sierhinie, i że wszędzie indziej ludzie z głodu marli.

Erazm, czy to, że w istocie miło mu było wracać do rodzicielskiego domu, czy też, że młodość w nim grała, przyjechał wesół, śmiejący się, szczęśliwy, wszystkiemu rad, roztrzęsiony jakiś, aż ojciec, który rzadko go takim widywał, dziwnie mu się przypatrywał. Instynktem czuł, że chłopcu coś być musiało, co go tak ożywionym czyniło, bo niema skutku bez przyczyny, a dawniej jakoś bywał cichszym i skromniejszym.

Ani przed ciotką, ani przed ojcem, którego szanował a razem się obawiał, z niczem się nie wydał p. Erazm. Na prawdę powiedziawszy, wesołości tej i szczęśliwości wewnętrznej była przyczyna tajemna, której się nikt nie mógł domyślić.

Rzecz się tak miała:

Przed wielkim tygodniem w Łopatyczach okazały się mnogie i rozmaite potrzeby domowe, których sprawunkami w Brześciu ani w Kobryniu zaspokoić nie było podobna. Wypadało chyba posłać do Warszawy, ale—kogo? Potrzebowano wiele do spiżarni: na to-by każdy łatwo z rejestrzyku zarządził, lecz i kobiecych fatalaszek do stroju wiele nie dostawało. Do tych potrzeba było i gustu i znajomości wymagań mody. Pani St. Aubin ofiarowała się jechać sama. Miło jej było przewieźć trochę i w drodze grać pani. Zdecydowano jednak, że dosyć było, zamiast Warszawy, Lublina. Z powodu trybunałów, przybywali tam kupcy, były sklepy; dostać można było, co zapragnęła dusza. Godziła się p. St. Aubin i na Lublin, choć przekładała Warszawę.

Lublin zaś z tego powodu był dogodniejszym p. sędzinie, że u Brygitek przełożoną miała rodzoną siostrę. Przy tej sposobności mogła jej posłać dla klasztoru pewnych łakoci i zapasów spiżarnianych, które zwykle około Wielkiej Nocy, osobna furą, pod nadzorem pisarza, dostawiała do zakonnic.

Już p. St. Aubin miała się wybierać w tę podróż, gdy—ni z tego ni z owego—p. Leonilla się zachciała nadzwyczaj gorąco jechać także i ciotkę Teresę odwiedzić. Oprzeć się panie Leonilli, gdy czego zapragnęła, nie było sposobu. Umiała tak pod-

pieścić ojca i matkę, podmawiać sługi, a w ostatecznym razie nadać się i zapłakać, że dziecku pieszczonemu odmówić nikt nie mógł.

Z początku ojciec ofuknął, nie chciał pozwolić, matka wzięła stronę córki, którą oddawna pragnęła matka Teresa zobaczyć. Pani St. Aubin, poparła wychowaną, — i jednego poranku kolasa we cztery konie, z bryką, ciągnęła do Lublina.

Nie mamy obowiązku opisywać, jak się tam dostały nasze panie.

Panna Leonilla, dla rozmaitości, jeden dzień cały spędzała w klasztorze u ciotki, a pani St. Aubin właśnie od rana do wieczora chodziła i jeździła za sprawunkami. Trzeba takiego wypadku, że zaraz zrana, idąc na Krakowskim-Przedmieściu, spotkała się z p. Erazmem. Chłopak szedł wyelegantowany, ze mszy od Jezuitów. Zobaczywszy Francuzkę, którą poznał, ukłonił się i chwilę zatrzymał. Ta, rada, że złapała kogoś do rozmowy i do posługi, zagadnęła go wesoło.

W kwadrans p. Erazm ze starą boną w jaknajlepszej komitywie, śmiejąc się, żartując, posługując jej, wyręczając ją, chodził po sklepach. Pani St. Aubin tak była z niego szczęśliwa, że ani go puszczać chciała.

Napomknął coś o zajadłej kłótni z Czemyryńskimi, a Francuzka żywo odpowiedziała:

— A mnie tam co do tego, że się starzy dają na siebie? Waćpan dlatego, choć życie w takiej rozterce, na moją Leonilkę, u Podkomorzego na weselu, patrzyłeś jak w tęczę i aż się obliżywa! Ho! ho! nieprawdaż? Ale-bo co śliczna, to śliczna! Pan Erazm potwierdził gorąco bardzo.

— A widzisz waćpan — dodała Francuzka, ja mam dobre oko. Ho! ho! Podobała ci się?

— Zapewne, ale cóż z tego? ani do niej przystąpić!—odparł smutnie Erazm.

— Co acan pleciesz!—żwawo poczęła Francuzka—ani przystąpić? Tak to u was; a u nas gdy kogo miłość gorąca opanuje, cale inaczej. Nie wważa się na żadne przeszkody, gruchoce się skały, zabija olbrzymów, podkrada pod okna, przebiega, naraża, wojuje, dopóki miłość nie zostanie uwieńczoną!

Gdybyś waćpan na prawdę się zakochał w Leonille!...

Erazm się mocno zarumienił, bo mu w istocie niewiele już do tego brakło, lecz przerwał zaraz:

— Czy pani nie widzi tego, że panna Leonilla na mnie nawet i spojrzeć nie chce.

Pani St. Aubin się rozśmiała.

— Ale-bo wy o miłości wcale nie macie wyobrażenia i zawołała: U was poprostu, powiedzą: „żeń się,“ zawiozą, zaswatają, zwiążą i na tem koniec. U nas miłość to sztuka; u nas zdobyć serce buntownicze, to cel życia męskiego. A choćby panna i patrzeć nie chciała! To właśnie tryumf gdy się ją zwycięży, rozkocha, pozyska nareszcie. Taka panna jak moja Leonilka, warta, żeby się trochę pokłopotać o nią i pocierpieć dla niej.

Z kolei rozśmiała się smutnie p. Erazm.

— Czyż pani tego nie widzi—rzekł—że nawet, gdybym (o czym nie śmiem marzyć) zdobył serce, nasi rodzice....

Francuzka mocno się oburzyła.

— Ale jakież waćpan jesteś prostoduszny i naiwny! krzyknęła, rękami klaszcząc. Tobys chciał chyba, żeby ci pannę przyniesiono na półmisku. A to mi się podoba! Taka miłość z przeszkodami, z awanturami, sekretna, otoczona mnóstwem niebezpieczeństw, oblana łzami, tragiczna—czy może być na świecie co piękniejszego i ponętniejszego! Cóż to uczucie bez tej przyprawy warto! O! wy Polacy! wy Polacy! wy nigdy tych delikatnych sentymentów, jakimi my żyjemy, nabyć nie potraficie.

Na tem się skończyła prawie rozmowa, ale poszła do głowy p. Erazmowi, tak, że się nią upił zupełnie. Nazajutrz Francuzka kazała sobie zrana towarzyszyć znowu; zaprzęga posłusznego chłopca do posług swoich, nadawała mu najrozmaitszych poleceń, i — gdy popołudniu po raz wtóry przyszedł do oberży, w której stały panie z Łopatycz—znalazł tam p. sędziankę Leonillę.

Panna, oburzona niezmiernie zuchwalstwem Hojskiego, o którym jej umyślnie może bona nie nie powiedziała, wyszła, drzwiami trzaśnawszy, do drugiego pokoju. Pani St. Aubin pobięła za nią, siedziała z pół godziny i, powróciwszy, gdy Erazm

żegnać się miał i odchodzić, dała mu znak, ażeby został.

W kwadrans potem, pod pozorem chustki zostawionej w pokoju, wróciła doń p. Leonilla. Nie patrzyła wprawdzie na Hojskiego, ignorowała go zupełnie, robiła pogardliwe minki, wyglądała oknem na ulicę; lecz Francuzka, której intryżka i roman-sik czyniły prawdziwą satysfakcję, tak jakoś umiała zręcznie pokierować rozmową, że w godzinę potem, chociaż zawsze surowa, groźna, niby kwaśna i nadašana, p. Leonilla, odpowiadała panu Erazmowi i—pytała go nawet o różne lubelskie informacje.

Nazajutrz się tak jakoś złożyło, że p. Erazm był cały dzień na usługach tych pań. Pani St. Aubin i Leonilla zawczasu zapowiedziały sługom, ażeby o tym gościu nie śmiały w domu ust otworzyć, pod utratą miejsca i łaski.

Znano przewagę jedynaczki nad rodzicami: można więc było być pewnym dotrzymania tajemnicy. Erazm służył jak—Murzyn. Latał, jeździł, płacił, szalał i wciągu tego jednego dnia, choć panna się z nim obchodziła jak z Murzynem, zakochał się w niej w najstraszliwszy sposób.

Romantyczne lektury francuzkie, usposobiły tak śliczną sędziankę, że dla niej nie w świecie nie mogło być przyjemiejszem nad zdobycie serca, nad takiego niewolnika-kochanka, co gotów był dać życie za nią! — Cały dramat śnionej miłości poruszał sercem sędzianki.

Pani St. Aubin nie widziała w tem nic a nic zdołnego.

Jeden dzień dłużej, niż było postanowiono, bawiono w Lublinie, a u ciotki Teresy mniej jakoś gościła piękna Leonilla, niż zamierzała. Tyle-bo miała sprawunków, kłopotów w mieście! Ostatniego dnia, doszło do tego, iż p. Erazm konno przeprowadzał do popasu. Francuzka po obiedzie wyszła jakoś na chwilę, zostawiając samnasam młodych dwoje, i garderobiana Anusia, przysięgała się potem, że widziała przez szparę we drzwiach z alkierza, jak Hojski kłął przed sędzianką, pochwycił ją za rękę; ona mu ją wrywała, ten ją gwałtem pocałował w paluszki, zerwał się zaczerwieniony jak piwonia, kolana z pyłu otarł i—rozstali się bez gniewu. I owszem....

Tylko w drodze, w kolasie żywa była nader rozmowa i popłakiwanie. W Łopatyczach nikt ani się domyślał, co zaszło w Lublinie.

A p. Erazm wrócił do Sierhina, tak wesół i szczęśliwy, jak nigdy nie był jeszcze; ale język za zębami trzymał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DO ANIOŁA STRÓŻA.

Gdy w nocnej zaciszy sen zamknie powieki,
Gdy duszy zgnękanie koi się w śnie,
Aniele mój Stróżu, nie odmów opieki,
Aniele mój Stróżu nie opuść ty mnie!

* * *

Daj lube widziadła, sny daj mi promienne,
Z przeszłości, przyszłości barwne wieńce wij,
Gdy spojrzę w świat marzeń przez oczy współ-
[senne,
Ty szczęścia obrazy z wysoka mi ślij.

* * *

Lecz rano, gdy w złotych promieniach swych
[słońce,
Rozbudzi mnie biedną i spędzi mar rój,
Na życia trud ciężki, na prace znojące,
Daj siłę, daj męstwo, Aniele ty mój!

* * *

A kiedy w ostatniej już wreszcie godzinie
Wyciągnę ku tobie zmęczoną mą dłoń,

Z niebieskich przestworów niech postać twa
[spłynie,
I śnieżne twe pióra nad głową mą skłoń.—

* * *

I zostań już przy mnie, o Strózu skonania!
Nad martwą, nad zimną na straży tak bądź:
Aż kiedy nadejdzie czas zmartwychpowstania,
Ty zbudź mnie, Aniele—skrzydłami mnie trąć....
Wład. Bentkowska.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 22 Stycznia 1878 r.

Smutny początek roku.—Epoka klimakteryczna znakomości.—Śmierć malarza Courbet'a.—Szczegóły i wspomnienia.—Słabości artysty.—Polityka i sztuka.—Proudhon i jego sąd o Courbetcie.—Stanowisko jego we francuskiej szkole malarstwa.—Śmierć generała Alf. de la Marmora.—Jego udział w oswojeniu Włoch.—Szczegóły z życia.—Jego zatargi z kanclerzem niemieckim.—Jego książka o rokowaniach ks. Bismarcka z Włochami przed wojną 1870/71.—Franciszek Raspail.—Jego życie, działania i śmierć.—Śmierć hrabiego Palikao.—Ciekawe szczegóły.—Wyprawa do Chin.—Wzięcie pałacu w Pekinie.—Różaniec ofiarowany cesarzowej francuskiej.—Żyjące perły.—Kula w gardle i mównica w Izbie poselskiej.—Jego książka o dwudziestoceterodniowym ministerium.—Śmierć króla włoskiego.—Xawery Aubryet i jego nowe książki: *Chez nous et chez nos Voisins* i *Les bas bleus*.—Korespondencya Sainte-Beuve'a; tom I-szy. Nowa książka Alfonsa Karra: *Notatki z podróży Domatora*.—Zabawne szczegóły.

(Dokończenie).

Za powrotem do Francji czekała go nagroda zciernionej korony. Była to chwila, w której cesarz Napoleon rozpoczął ów sławny programat *Liberalnego cesarstwa* i dawał początek rządowej reformy. Raz zachęcona opozycya szybko posuwała się naprzód, a w jej czynnych rękach każda najmniejsza rzecz stawała się niszczącym taranem. Niemogąc w szczęśliwie dokonanej wyprawie chińskiej znaleźć dostateczny powód do walki, rzucono się tem zapamiętałej na osobę naczelnego jej wodza, któremu odmawiając honorów i nagród, osłabiano w ten sposób wszelki urok, jaki mógł ztąd spłynąć na rząd i na wojsko. Wzięto się więc do dzieła, a za pomocą osobistych nieprzyjaciół wojskowych generała Montaubana,—bo i któż jest bez nich na świecie? stworzono cały gmach oskarżeń, w którym nadużycia, malwersacye i grabież pierwsze zajmowały miejsce.

Toteż kiedy cesarz wynagradzając długoletnie zasługi generała i tak świetnem powodzeniem uwieńczoną wyprawę, zażądał do Izby uposażenia dla starego żołnierza, Izba poselska, nietylko, że odrzuciła ten projekt, ale nadto oparła przyczynę swego odmówienia na powodach, z których każdy był zniewagą dla naczelnego wodza wyprawy. Wówczas-to Napoleon w liście napisanym do Mornego, prezesa Izby, umieścił te pamiętne wyrazy: „że tylko narody chylące się do upadku zdolne są odmawiać narodowej nagrody zasłużonym w ojczyźnie mężom“.

Generał Montauban wobec tak nieprzyjawnego dlań usposobienia Izby, najusilniej upraszał cesarza o cofnięcie propozycyi, co się też i stało. To jednak nie rozbroiło nieprzyjaciół rządu i generała. Opozycya szła dalej i dalej. Generał Montauban ofiarował cesarzowej różaniec, zrobiony z ziarn sardoniku, znalezionych w pałacu letnim cesarza Chińskiego i przeznaczonych na naszyjniki Mandarynów. Różaniec ten, poświęcony w kościele katolickim w Pekinie, otwartym nanowo dla obrzędów po zawarciu pokoju, poświęcony przez arcybiskupa Pekinu, przeznaczony był na ten cel z myślą przypomnienia wszystkich wypadków tej wyprawy i prześladowań okrutnych, jakie spotkały w Chinach tyłu misjonarzy i katolików dla cesarzowej Francuskiej, której gorliwość dla wiary znana była całemu światu. Nieprzyjacielem Montaubana pucili w obieg nowinki, że różaniec składał się z pereł niesłychanej wielkości, wartujących

przynajmniej milion franków i że ofiarowany był w celu, aby protekcya cesarzowej mogła pokryć wołające o karę nadużycia naczelnego wodza. Następnie perły te stały się czarnymi perłami i wartość doszła do półtora miliona. Skończyło się na tem, że wartość przeszła dwa miliony franków i że perły—były to perły żyjące (sic). Nikt wprawdzie nie wiedział i nie mógł wytłumaczyć tajemniczego znaczenia: *Żyjących pereł*, ale każdy o nich mówił tem usilniej, im mniej wiedział co mówił.

Jakgdyby ostatnia część życia generała była przeznaczoną na ciągłe przykrości i cierpienia tylko. Generał Montauban po upadku ministerium Oliviera mianowany został ministrem wojny i prezesem rady ministrów, co go zmuszało do codziennego prawie wehodzenia na mównicę i zdawania rachunków z działań wojskowych.—Wskutek ciągłych niepowodzeń wyprawy 1870 r. i zbyt smutnego stanu, w jakim się nagle znalazła Francya, położenie ministra wojny stało się niezmiernie delikatnem i trudnem; złe nowiny, których zmuszony był udzielać ciągle Izbie poselskiej, uczyniły go wstrętnym i niepopularnym nad wszelki wyraz, tak, że wkrótce nie mógł się już pokazać w Izbie bez wywołania nieprzyjawnego szmeru i nieprzychylnych okrzyków. Raz tylko wywołał powszechne oklaski w Izbie, a to z następnego powodu:

Generał był na mównicy, tłumacząc ze smutkiem smutniejszych jeszcze wypadków koleje. Nie miał on wcale mocnego głosu; a w tej chwili głębokiego wzruszenia, głos jego tak osłabł, iż ledwie najbliżsi z posłów potrafili coś zrozumieć z mowy ministerjalnej.—Głośniej! głośniej! zaczęto krzyczeć w Izbie zewsząd.

Pomimo wszelkie usiłowania znowy trudno było dosłyszeć czegoś i znowu zaczęto wołać: Głośniej! głośniej! Generał nagle przerwał swą mowę i podnosząc rękę do gardła, spojrział niespokojnie do koła. Umilkli wszyscy!

„—Panowie, powiedział wówczas spokojnie i skromnie minister, darujcie mi, jeśli nie mogą głośniej się wysłowić. Czternaście lat temu dostałem kulę w gardło, a kula ta i dotąd tam siedzi“. Powszechny i grzmiący oklask Izby pokrył te słowa ministra.

Po wypadkach 4 Wrześ. 1871 r., podczas wojny jeszcze i później, stał zdala od generała widowni publicznej. Jedyłą nagrodą jego zasług była skromna emerytura i szczęście widzenia wracającego z niewoli pruskiej syna jedynaka, którego gorzko oplakał, odebrawszy wiadomość, że w bitwie pod Sedanem d. 1 Września poległ na placu boju. Syn ten jest dziś generałem brygady i konwój ojeowski prowadził do grobu. Generał Montauban napisał książkę pod tytułem: *Dwadzieścia cztery dni ministerium wojny*. Ciekawa ta i pełna zajmujących szczegółów książka wyszła na świat w 1872 roku. Jestto ważny przyczynek do historii Francji z owej smutnej i bolesnej epoki.

Ostatni, który zstąpił do grobu z tej liczby, jakby wybranych, ofiar, był to jeden z najwaleczniejszych żołnierzy naszego czasu. O tym waszemu korespondentowi dosyć jest wspomnieć: *in magnis voluisse sat!* O tym całego świata prassa rozgłosiła wieść bolesną i niespodzianą jak piorun! Moje własne, osobiste wspomnienia o królu Włoskim nie nowego nie mogą dodać w tej chwili do tego, co zapełnia szpalty wszystkich dzienników świata. Kiedyś może na innym miejscu powiem jakie wrażenie sprawił na mnie Wiktor Emanuel w dwóch spotkaniach, w których wypadek postawił mi na drodze królewskiej...

Zamykając ten smutny szereg umarłych i przechodząc do żyjących, zatrzymuję was na chwilę przy łożu chorego. Jestto dziwna i ciekawa osobistość: dziwna jako umysł królujący na ruinie ciała.—ciekawa, jako żyjące wcielenie najparadoxałniejszej myśli i stylu pisarza, który podobnego sobie nie ma nietylko w literaturze francuskiej, ale może i w literaturze powszechnej. Mówię tu o Xawerym Aubryet, który dotknięty od lat kilku ciężką, nieuleczoną chorobą, nie rzuca przecież dzielnego pióra i od czasu do czasu przypomina się publiczności. Niedawno wyszedł tomik jego pod tytułem: *U nas i u naszych sąsiadów*; są to oderwane studia, jakby mieszaniny literackie, o Francji i Anglii. Mówiłem, że umysł i styl Aubryeta są oryginalne i dziwne, ale mają ten wdzięk niesłychany,

jakiego doświadczyliśmy zawsze wobec pisarza, którego pióro jest wyrazem nieobmyślanej, nieprzygotowanej, ale z żywego źródła tryskającej myśli, w formie, która znamionuje jego własną szczególną i niezależną osobistość. Rzadkie to dzisiaj przymioty, dziś, gdy pośpiech i gwałt pisania zaciera ją wszelką oryginalność wyrażenia i myśli. W tym nowem dziele zasługują na szczególną uwagę rozdziały poświęcone Dickensowi, Byronowi, Chénierowi i pani de Lamballe. Aubryet jest legitymistą i w portrecie znakomitej ofiary z czasów Wielkiej Rewolucyi — pióro jego nagromadziło wszystkie skarby czułości i głębokiej ironii.

Ale daleko oryginalniejszym i daleko ciekawszem dziełem niż tamto jest książka świeżo wyszła na świat tegoż Aubryeta: *Les bas bleus*. Chory śledziennik nie lubi kobiet uczonych; to też nie wdając się w drażliwy rozbiór tej książki — polecam jej czytanie tym, którzy chcą się zabawić i nauczyć zarazem. Śmiałe te i uszczypliwe szkice dają jednak prawdziwą miarę, w jakim stopniu wpływ pończoszkowej literatury jest pożytecznym dla społeczeństwa naszej.

Zapisać tu należy świeżo wyszły u Kalmana Levy'ego nowy tom *Korespondencyi Sainte-Beuve'a*. Wydanie listów poufnych i nieznanych światu takiego pisarza, jakim był Sainte-Beuve, jest rzeczą tak ważną, iż ta się obejdzie bez długiej przemowy, choćby i najsprytniejszego kronikarza. Te rzeczy trzeba czytać i rozbiierać samemu. Pierwszy tom *Korespondencyi* zamyka w sobie listy z 1822—1869 roku, a powodzenie, jakie spotkało inne dzieła autora, pewien jestem, że nie ominie i tej nowej książki, bo w tych pośmiertnych listach na każdej ich karcie znajdziemy to piękno żyjące, którym nieśmiertelny krytyk oznaczył głęboko każdy swój pogląd na literaturę swojego czasu i na społeczność, w której rozwijała się i kwitła ta literatura.

Na zakończenie tej, zanadto może zaczernionej korespondencyi wspomnieniami o zmarłych, pozwólcie powiedzieć sobie słówko o nowej książce Alfonsa Karra. Dowcipny ten pisarz, rybak i ogrodnik, ma dar, jak wiecie, rozumieć i najsmutniejsze sersse. I tą razą nie umaczał swojego pióra w ławnicy i pozostał zawsze tym samym Karrem, któregośmy wszyscy znali w jego *Osach* i na tyłu a tyłu dowcipnych kartach. Nowa książka ma tytuł: „Notatki z podróży domatora“ (*Notes de voyage d'un casanier*). Chociaż podróże te są po obcych krajach, Karr jednak nie zapomina o swoich, a zbierając notatki jako człowiek, co umie patrzeć i słuchać, nie opuszcza sposobności do mówienia i o swoich, choćby tylko dla prostego porównania rzeczy. Ażeby czytelnikom moim pozwolić choć trochę skosztować tych smacznych łakoci, przytoczę tu maleńki ustęp wspomnień Karra z podróży do bieguna północnego. Rzecz dzieje się pono w Berlinie czy w Szczecinie—mniejsza o to. Przybywa do miasta komisant, Francuz; po kolacyi idzie do łóżka—śpi smacznie, a obudziwszy się rano znajduje dwie stopy śniegu i 25 stopni zima. Pierwszą rzeczą, która mu się z ust wyrwa, jest: Brrr!... We dwie godziny potem wołają go na policyę:

— Jak się pan nazywasz? co robisz? po co tu przyjechałeś? i co robiłeś od swego przyjazdu?

— Co do moich interesów nic jeszcze. Przyjechałem wczoraj późno, jadłem kolację, wyspałem się — dziś rano ledwie wyszedłem powołano mnie tutaj — i oto jestem.

— Pan zapominaś o czemś?

— O niczem, jak mi się zdaje.

— Proszę przypomnieć sobie lepiej?

— Nie przypominam sobie nic a nic.

— Postaram się mu dopomóc.

— Bardzo będę mu wdzięczny.

— Co pan powiedziałeś wychodząc z hotelu?

— Nic—byłem sam i nie mam zwyczaju sam do siebie gadać.

— Myli pana jego pamięć w tej chwili. Powiedziałeś pan Brrr!

— A! to bardzo być może.

— Cóż to znaczy to brrr!

— To znaczy: oto mroźnik, co tego szczypie...

— Czy to pierwszy raz jesteś pan w tym kraju?

— Tak—pierwszy....

— A więc, proszę pamiętać, iż nie należy tu na-

ganiać żadnej rzeczy, żadnych robić uwag... Rozumiesz pan?

— Rozumiem.

— To tylko powiadam panu.

— To mi wystarcza....

Nasz podróżny wyszedł z policyi trochę zmieszany, ale z postanowieniem zwrócenia największej uwagi na dane mu tak grzeczne ostrzeżenie i rzeczywiście został rok cały w Prusach; każdego wieczora po skończeniu interesów chodził do kawiarni, gdzie pijąc pióncz, grał w domino. Od pierwszego dnia spostrzegł, że brakowało podwójnej szóstki w grze. Otóż grał trzysta sześćdziesiąt pięć razy w to domino, zawsze bez podwójnej szóstki, i opuścił Prusy, nie ośmieliwszy się uczynić żadnej w tym względzie uwagi, jakgdyby wcale się nie spostrzegł na tem!

I tak cała reszta książki, kartka za kartką — za boki trzeba się trzymać. Miał wielką rację Roqueplan, kiedy mówiąc o pustelniku z Saint-Rafaël, powiedział: „Ta bestya ma tyle rozumu i dowcipu, że, aby się pocieszyć, przyjaciele jego muszą sobie mówić: „O! to nie potrwa.... Zwali się on jednego pięknego poranku jak kłoda! „A oto trzydzieści lat jak to trwa. Zbudowany jak dąb, każdego dnia, rzekłbys, się odmładza“.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Mauprat. — Dramat w 6 aktach, Jerzego Sand. — Wznowiony na scenie Teatru Wielkiego d. 22 Lutego 1878 r.

Czerwony afisz zapowiedział nam arcy-starą sztukę jako nowość; jakkolwiek Warszawa znała ją z czasów świetnych Komorowskiego, i daleko jeszcze później, bo z przed ośmiu lat publiczność na to pierwsze przedstawienie zgromadziła się liczenie — czy i na późniejsze, tak ochotnie zgromadzić się zechce? — jestto już kwestya estetycznego smaku.

Naszem zdaniem, sztuki podobne jak *Mauprat*, należą do epoki dziś już zwietrzałej, do czasów nastraju przesadnie-romantycznego, który rozkoszował się efektami najgrubszego, najdrastyczniejszego gatunku, a jakkolwiek *Mauprat* ma sceny w przeprowadzeniu dwóch charakterów (Bernarda i Edmei) psychologicznie piękne i chwilowo porywające, w całości jednak należy do melodramatów w pełnem znaczeniu tego słowa. W melodramacie zaś i perspektywa jest zbyt wydłużona, i oświetlenie przesadne i nastrój demonicznie naciągnięty, tak, że gdy się wychodzi potem z teatru na wolne powietrze, między rzeczywistych ludzi, oddycha się całą pierśią i z tą ulgą, która zawsze następuje po wydobyciu się z przytłumionej atmosfery.

Dla ogółu nieukształconego, który w rzeczach smaku zawsze pozostanie dzieckiem, nastrój ten odmienny, tak różniący się od pospolitych wydarzeń dnia, ma urok niezwykły, bawi zmysły i drażni nerwy. Tem wytłumaczyć sobie trzeba powodzenie melodramatów w tak zwanych „niedzielnym przedstawieniach“, których, niestety, u nas, dotąd nie dało się zastąpić dobrą, a więc przez to samo zdrową, sztuką ludową. Lecz dla ludzi ukształconych, zdecydowanych albo na utwór poetyczny na wskrós, albo na dotykający realnych stosunków, sztuka tego rodzaju, co *Mauprat*, staje się dziś anachronizmem, cofnięciem w tył, zepsuciem wyrobionych już przyzwyczajęń w dziedzinie artystycznego gustu. Dodać tu nadto trzeba, odrębność zupełną stosunku historycznego, służącego za tło, który mógł chyba w swoim czasie (bo dziś już nie) zainteresować Francuzów, ale nie nas. Mówimy tu o feudalizmie zapadającym się w gruzy, a usiłującym nadaremnie walczyć z postępem prawa i dawno już wyrobionych społecznych pojęć. W walce tej jednej zdziczałej rodziny Maupratów, z otaczającym ją odmiennem społeczeństwem, w tem ich *raubrätterstwie*, które wśród murów owego zamczyska, chce dyktować prawa tak, jak to czyniło za dawnych czasów „bezprawia“, znalazłby się niezawodnie poetyczny element, gdybyśmy w tym kie-

runku nie znali już niedoścignionego *Götze von Berlichingen*. Atoli w tym Götzu jest istotna walka rycerskiej, wspaniałej buty feudalnej, z porządkiem ogólnym, z wybijającą się na wierzch zasadą równości wszystkich wobec prawa; jest kolorysty świetny, przenoszący nas czarem w ową epokę żelaznych na tych burgach niepodległe panujących rycerzy; jest wybitna charakterystyka ludzi starego i nowego świata; jest wreszcie przeprowadzenie idei jedności państwa, tej idei w tak odmienny sposób dziś urzeczywistnionej: gdy w *Maupracie* opór starych pojęć wyraża się prostym bandytyzmem, a postęp nowych idei w osobie manekina, pana de la Marche, kommissarza królewskiego.

Gdyby sławnej autorce nie chodziło o to uwydatnienie dwóch światów, łatwiej już zgodzilibyśmy się na oryginalność romansu Edmei i Bernarda, powstałego wśród nadzwyczajnych warunków, bez których szkoła romantyzmu po r. 30-tym, nie dałaby swego stempla żadnej ze swych produkcji dramatycznych. Ale autorce na tym względzie zależy wiele, jak o tem lepiej i dosadniej przekonać się można, z przeczytania samego romansu pod tymże tytułem.

I tu znowu okazało się tylokrotnie przez nas wzmiankowane niebezpieczeństwo: przerabiania utworu powieściowego na utwór dramatyczny. Wszystko bowiem, co w romansie stanowi najwyższe zalety — całe, naprzykład, przeprowadzenie psychologiczne charakterów, wszelkie odcienia subtelnego rysunku otoczenia, tak wpływającego na postanowienia głównych bohaterów, wszelkie nareszcie obrazy natury i wogóle martwego otoczenia, tak podnoszące i pośrednio oddziaływające na usposobienie, — giną i ginąć muszą w przerobieniu na dramat, gdzie szybki czyn, gdzie ciągle rosnąca akcja, gdzie linie ostro postawione, skoncentrować w sobie muszą wszystkie drobne a charakterystyczne właściwości osób działających i motywów ich działania.

Z tej przeto już przyczyny, najpiękniejszy romans jako dramat stracić musi — a *Mauprat* jest dla nas jednym z najoczywistszych tego dowodów.

Cały albowiem akt pierwszy, zamiast przygotować należycie widza do odpowiedniego usposobienia, do zrozumienia możliwości istnienia takiej wyjątkowej rodziny Maupratów, (co jest uczynione w romansie) ich rzemiosła zbójckiego, choć dyktowanego zastarzałym przesądem, — wydaje się pro prostu szopką, w której zjawiają się po kolei i zbój i szatan, i anioł-dziewica, i żołnierz, szturm, strzały, piwnice podziemne i t. d. A temu aktowi odpowiada w zupełności akt ostatni, z owym rozwalonem skrzydłem zamczyska, w którym się przechowuje ostatni zbójca i mściciel rodu tego, Jan Mauprat. To więc co w powieści technie dzięknością wcale niepozbawioną uroku poezji, tutaj robi wrażenie cudowności przeznaczonej dla przestraszenia dzieci, znających bajki o ruinach, rozbójnikach i strachach.

Srodkowe jeszcze akty, w których dało się uwydatnić rozwój dramatu wewnętrznego, owej miłości niepoohamowanej, gwałtownej do szaleństwa, Bernarda ku Edmei, i wdzięk i czar jej charakteru, zdolnego przez miłość przebaczyć najsrozsze krzywdy, cierpieć i poświęcać się tak, jak tylko umie prawdziwie wyższa kobieta — pojednały znowu widzów na rzecz talentu sławnej autorki.

Nikt od nas zapewne nie wymaga, iżbyśmy się tu wdawali w rozbiór bliższy i treść tej znanej zresztą sztuki — temwięcej, że oprócz charakteru Bernarda i Edmei, o innych i mówić niewarto. Jan Mauprat bowiem, ów szatan — stróż rodziny, który w grze znakomitych aktorów wychodzi na scenie tak jaskrawo i piekielnie, iż się śni potem po nocach poczciwym mieszczuchom i przestraszonym paniątkom, jako charakter według miary ludzkiej, ani wytłumaczyć ani usprawiedliwić się nie da. Hasło jego czy całej rodziny: „Zemsta i wściekłość“, ma znamionować jego samego we wszystkich czynach. Zewnętrznie już upośledzony, — według metody W. Hugo — dyszy on tylko zemstą i gniewem na świat cały, za to, że świat jego chimery odwiecznych podzielać nie chce i nie może; on więc, po uwięzieniu wszystkich jego braci i rozwaleniu zamku, tuła się jeszcze na to, ażeby się zemścić na swej synowicy Edmei i jej kochanku Bernardzie. Udaje mu się to, za pomocą maszyneryi teatralnej, dającej w rezul-

tacie czyn morderstwa, z wszelkimi następstwami kryminalnego powikłania.

Agonia jego na scenie i przekleństwa, jakie rzuca na niewinnych, którzy przez niego cierpieli — kończą ten dziwnie jaskrawy dramat, nazwany słusznie choć trywialnie, przez kogoś: „dramcem.“

Właściwie, sztuka ta jest przedewszystkiem polem dla popisu aktorów w trzech rolach: Bernarda, Edmei i Jana Mauprata.

Pierwszy ma nawet rolę najtrudniejszą z tego względu, że charakter jego, mimo swej różnorodności, najlogiczniej jest przeprowadzony, i że w akcie pierwszym potrzeba mu być pół-bożkiem, ażeby wyjść z tej powodzi krzyku i deklamacji, jeżeli nie zwycięzko to przynajmniej zrozumiale. Dzika, gwałtowna a szlachetna natura Bernarda, ma nagle, w jednej sekundzie, rozstrzygnąć, czy się spodli na zawsze, czy oczyści kiedyś i zabłyśnie tak jak jej było przeznaczonem. Dla ocalenia Edmei, ma się w tej sekundzie rzec poglądów, w których wzrosła, wyprzeć rodzonych braci i prawie ich zdradzić... Ilek tu artysta potrzebuje zręczności, techniki i rutyny, aby być konsekwentnym!

W dalszych aktach już ma łatwiej. Łamię się ciągle ze swą namietnością: miłości i zazdrości, lecz wraca mimowoli do swych szlachetnych instynktów i nareszcie poprawia.

Ze p. Kotarbiński z tej roli wywiązał się jak na początkującego artystę, zaszczytnie, stanowi to dowód jego pracy i studyów sumiennych; ale że w akcie pierwszym zabrakło mu głosu, że poradzić sobie nie zdołał w tych piorunowych a najrozmaitszych przejściach z jednego uczucia w drugie, temu się jak na teraz i dziwić nie można. Dalsze akty były daleko lepsze; znać było myśl przewodnią, która go nie opuszczała i na chwilę, a z końcem aktu IV zapal widoczny natchnął go wybuchem, który i widzów wzruszył. Nie radzilibyśmy mu tylko być komicznym w dwóch środkowych aktach z premedytacją, bo szorstkie odpowiedzi Bernarda są wpływem wewnętrznego jego natury, lecz nie gapiowstwa.

P. Derynżanka jako Edmea, zrobiła z tej trudnej roli wszystko co było możliwem, umiając słodkie uczucie kochającej z poświęceniem kobiety, ujawnić z całym wdziękiem artystycznym i z prostotą niewyszukaną, ale właśnie dlatego szczerze poetyczną.

Rola Jana Mauprata była od lat dwudziestu popisową dla p. Królikowskiego. Postać ta na wskrós demonicznie narysowana, urasta pod potężną grą jego, w olbrzymia zła i chytryści, wrażając się w wyobraźnię widzów niezapomnianie. Z tem wszystkim wolelibyśmy, — a z nami wszyscy zapewne prawdziwi miłośnicy wielkiego talentu tego artysty — iżby raz na zawsze porzucił tę kreację życiem rzeczywistym a stokroć podnioslejszem od owego, wytworzonego tak cudacznie.

Pan Tatarkiewicz z roli Leonarda wywiązał się bardzo dobrze, choć oczywiście zrobił ustępstwo ze swej osoby dla dobra sceny.

Reszta grała, jak mogła. Zrobilibyśmy tylko uwagę p. Turczynowiczowi, że nie należy od pierwszego do ostatniego aktu, w jednym i tym samym ciągle pokazywać się kostiumie; dowodziłoby to bowiem tylko jego, całkiem w tym wypadku niepotrzebnej, oszczędności, ale bynajmniej nie zrozumienia małej swej roli. Wszakże między pierwszym aktem a ostatnim, upływa lat kilka, — jeden przeto kubrak nie wystarczy.

Edward Lubowski.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Pisma niemieckie donoszą o przysłudze, jaką kobieta oddała przemysłowemu gospodarstwu niemieckiemu. W ostatnich czasach, a mianowicie w czasie wojny amerykańskiej, gdy podróżenie bawelny, a nawet zagrażający jej brak, odbiły się bardzo przykro na bawelnianym przemyśle Europy, pisano wiele o uprawie pokrzywy, mogącej

zastąpić przez delikatne swe włókno bawełne, i rozpowszechniła się w Niemczech broszura, wykazująca możliwość uprawiania tamże tej włóknodajnej rośliny. Czytano, ale nikt nie wziął się do dzieła; aż oto teraz *Kuryer Reński* donosi, że żona dzierżawcy klucza Langenschwalbach, pani von Rössler, przeprowadziła próbę uprawy pokrzywy i obrobienia jej włókna do takiego stopnia, w jakim powinno się przedstawić je przemysłowi. Po pierwszych przez jej samą przez lat kilka przeprowadzanych doświadczeniach na mniejszą skalę, zasiano następnie pole całe jednej włóści klucza pokrzywą, następnie postąpiono z nią tak, jak z konopiami, a włókno okazało się bardzo pięknem, w trwałości konopiom nieustępującem, przytem bardzo delikatnem i błyszczącym, a rezultat tak szczęśliwy zachęcił natychmiast do naśladownictwa i w całej okolicy uprawa pokrzywy zaprowadzana być poczyna. Zarząd lasów rządowych wyszukał i oznaczył polana, na których uprawa pokrzywy regularnie dokonywać się będzie, a ministeryum przemysłu i rolnictwa w Berlinie, przez osobę Dra Friedenthala i w Kassel przez osobę barona von Ende, po zbadaniu rzeczy na miejscu, podziękowanie swe pani von Rössler złożyło, wzywając ją zarazem, aby raczyła nadesłać okazy uprawianej przez siebie rośliny (Brennessel), oraz jej włókna, tak do rolniczego muzeum w Berlinie, jak i do przemysłowego muzeum w Kassel, gdzie takowe zamieszczone będą z przyznaniem jej odpowiedniego tytułu pierwszej osoby, która się przemysłowi kraju swego uprawą pokrzywy zasłużyła. Przytem właściciel dóbr Wetterau, sąsiadujących z kluczem Langenschwalbach, oraz członkowie rolniczego klubu w Frankfurcie nad Menem postanowili, każdy w swojej włóści, zasiać pokrzywą morgę najlepszej, pod uprawę pszenicy oddawanej glebie, aby się przekonać; o ile ta roślina udająca się dobrze na każdym, nawet bardzo lichym gruncie, da się uszlachetnić wyższą uprawą, i jakie w tym razie korzyści gospodarstwu rolnemu przynieść może?

Publiczny rozgłos takie już znaczenie doświadczeniu p. von Rössler nadał, że nietylko z bardzo wielu różnych stron Niemiec, ale z Węgier i Szwajcaryi zwrócono się do niej z prośbą, o poznanie z praktyczną metodą uprawiania pokrzywy. Przypuszczać można, że p. von Rössler doświadczenia swoje ogłosi drukiem.

Uniwersytet londyński na ogólnem zebraniu członków swoich w d. 15 Stycznia b. r., postanowił znaczną większością głosów, bo 242 przeciw 131, przypuszczenie kobiet do egzaminów na stopnie naukowe, i wskutek tego otrzymywanie tych stopni we wszystkich gałęziach nauk i umiejętności, jakich fakultety istnieją przy wspomnianym uniwersytecie, a mianowicie: prawa, medycyny, nauk historyczno-filozoficznego i matematyczno-przyrodniczego wydziału, oraz wydziału sztuk pięknych. Uniwersytet nie ograniczył prawa otrzymywania przez kobietę stopni naukowych: magistratu lub doktoryzacji, żadnym warunkiem szczególnym odbywania studyów, w ten lub inny sposób, ale po prostu przypuścił ją do praw ogólnych służących dotychczas studentom p. m. i postawił w skutek tego dodać do ustaw swoich nową kartę dodatkową. Wśród przeszkód stawianych dobrym chęciom senatu uniwersyteckiego przez doktoryzowanych na tymże uniwersytecie mężczyzn lekarzy, codo doktoryzowania kobiet, postawiono zasadę, że wydział lekarski wtedy tylko zaszczyty stopni naukowych rozszerzy i do kobiet, gdy inne wydziały uniwersytetu uczynią toż samo. Otóż jestto obecnie faktem spełnionym.

Przyznawanie stopni naukowych przez uniwersytet Londyński różni się wiele w znaczeniu z egzaminami, składanymi dotychczas przez kobiety angielskie w tymże uniwersytecie, oraz w uniwersytecie w Cambridge, bo inne prawa naukowe przynosi za sobą. Tamte poświadczały tylko co ta kobieta umie, to dają jej podstawę praktycznego działania na zasadzie nabytej nauki.

Z początkiem pierwszego semestru wykładów w kolegiach uniwersytetu Londyńskiego, otwarto jak i lat przeszłych wykłady dla kobiet (*Ladies classes*) urządzone przez professorów tegoż uniwersytetu. Bywają one zwykle licznie uczęszczane i biorąc rzecz nawet ze strony materialnej dobrze się opłacają wykładającym. W roku zaprzyszłym

słuchało ich 391 osób, w roku zeszłym tylko 320, niemniej z końcem roku przedstawiło się do egzaminu z 14 przedmiotów 118 studentek. Z tych pięćdziesiąt złożyło egzamina z odznaczeniem celującym, a dwanaście tylko odpadło. Istnieją także wieczorne wykłady professorów uniwersytetu londyńskiego, lecz te mają na szczególnym względzie nauczycielki i osoby ubiegające się o patent nauczycielski.

Podobne wykłady miewane przez professorów uniwersytetu w Cambridge i w Oxford, oraz połączone z niemi szkoły wyższe dla dziewcząt, wciąż utrzymują się szczęśliwie i okazują postęp pożądany. Na siedm nagród, w postaci stypendyów, jakie Cobden Club przeznaczył w tym roku dla studyujących przy uniwersytecie w Cambridge ekonomią polityczną, pięć zostało przyznane kobietom, a mianowicie: Gertrudzie Gregson, Sarze Smithson, Hannie Cheetham, Annie Hankinson, Elżbiecie Sturge. Nazwiska studentów męzkich są: H. N. Krüger i Alfred Tarbotton. Składane na ten cel rozprawy stanowiły o rzeczy.

Królowa Wiktorya ustanowiła dla kobiet wyłącznie order *Korony Indyjskiej*, że przeciw otrzymywać go mogą jedynie angielskie księżniczki królewskiego domu i księżniczki z rodu władców indyjskich, z małym dodatkiem żon lub córek najwyższych urzędników z zarządu Indyi, order ten nie sprawił w Anglii wrażenia, i wogóle opinia publiczna nie zainteresowała się nim przychylnie. Wszystkie istniejące znaki zaszczytne odznaczenia mają za zasadę uczczenie zasługi wyższej lub stanowiska: tu zaś dostaje go kobieta na mocy urodzenia lub stopnia męża czy ojca; własna jej osobistość nie tu nie znaczy.

Uzupełniając podaną w zeszłej kronice wiadomość o *Londyńskim stowarzyszeniu przyjacielskiej opieki nad młodemi sługami*, dodać należy, że dama opiekunka składa najpierw wizytę pani, u której zostaje w obowiązku zajmujące ją dziewczę i dopiero za jej zgodą i przyzwoleniem znosi się z pupilą swoją. Do obowiązków opiekunki należy to, aby dziewczę miało zapewnioną sobie możliwość nauki religijnej i nabożeństwa według wyznania, do którego należy, przytem używania pewnej rozrywki w chwilach wolnych od pracy. W skutek tego dama opiekunka daje dziewczęciu książki do czytania, wskazuje jej sklepy, gdzie w razie robienia sprawunków oszukana nie będzie, daje rady codo tej czynności, obznajmia z zakładami, gdzie oszczędności swoje bezpiecznie złożyć może, w popołudnia świąteczne nastęrcza jej rozrywki odpowiednie, zaznajamia ją z przyzwoitemi towarzyszkami jej stanu, niekiedy zaprasza do własnego domu i ze swemi służącymi zapoznaje, posyła z niemi na przechadzkę lub widowiska odpowiednie. Czuwanie nad zdrowiem i zbadanie: jakim jest mianowicie otcoczenie dziewczęcia, jaką jest praca i obowiązki przez służbę na nią włożone?—stoi naturalnie na pierwszym miejscu. Stowarzyszenie zawiązane zostało jeszcze w 1875 r. między małym gronkiem kobiet dobrej woli, rozszerzając się zwolna do tego, czem jest obecnie. Założycielką jego jest Mrs Senior, zmarła w zeszłym roku filantropka błogosławionej w Londynie pamięci, a odznacza się tem od drugiego podobnego towarzystwa: *Gerl's friendly Society* (Przyjacielskie dziewcząt towarzystwo), że nie ogranicza się jedynie do osób wyznania anglikańskiego, ale bez względu na religię przypuszcza do drużyny opiekunek każdą zacną i moralną kobietę, a każdemu służącemu dziewczęciu bez rodziny miejsce jej zastępować pragnie. Stowarzyszenie posiada już obecnie własny dom poprawy dla młodych przestępczyń swoich, otwarty z końcem Stycznia przy ulicy New-Ormond Street.

Amerykanki, które w ostatnich czasach zaczęły odznaczać się ekscentrycznymi wybrkami i pomiataniem wielu względów, które kobieta europejska szanuje, nie tak jednak daleko zaszły na tej drodze wogóle swoim całym, czego świeży dowód mamy przed sobą. Czytelnicy pisma naszego przypominają sobie może Dr Maryę Walker, w ubraniu krótkim, na pół męzkim, a niemniej kokieterjnym, występującą w Londynie na estradę i ściągającą na siebie grubijańskie żarty studentów medycyny. Dickens ujął się wtedy za nią, gromił surowo liche pastwienie się nad cudzoziemką, ale niemniej sam śmiać się musiał, musiał ruszać ra-

mionami na cudackie i mało sympatyczne stworzenie, które może najwięcej przyczyniło się w Anglii do niechęci dla kobiety lekarza. To, co inna Amerykanka, Elżbieta Blackwell, zyskała dla tego nowego kobiecie zawodu sympaty i szacunku, to ona nieuważnie, awanturniczo straciła. Niemożąc w Anglii osiedlić się na stałe, udała się do Konstantynopola, gdzie miała mieć sobie zapewnione miejsce lekarza nadwornego w haremie sułtańskim, ale i tam nie przebywała długo i widziemy ją w końcu powracającą do ojczyzny i porzucającą niewdzięczny dla niej zawód lekarza. Ponieważ w czasie wojny Amerykańskiej południa z północą, Marya Walker była lekarzem ambulansowym i miała rzeczywiście pełnić swe obowiązki z poświęceniem, uważała że rząd Stanów Zjednoczonych winien jej względnosc i wystąpiła jako kandydatka do urzędu w Skarbie Państwa. Po przebytych egzaminie została przyjętą na posadę płatniczą w Waszyngtonie z pensją roczną 900 dolarów, złożyła obowiązującą przysięgę na wierne dla kraju wykonywanie urzędu, przecież w chwili objęcia go, spotkała się niespodziewanie z protestacją licznego grona kobiet, w biurach ministerstwa skarbu zajętych, a które nie chciały jej przyjąć między siebie, póki nie zdejmie mała przystojnego dla kobiety ubrania, złożonego z krótkiego paltotu i majtek, który to ubiór ośmiesza ją i szkodzi powadze urzędowej stanu, jaki przyjmuje. Marya Walker obrażona i dotknięta ciężko tem szczególnie, że uczyniły to kobiety, którym pragnęła „torować drogi nowe“, nie chciała przystać na żądanie, że przecież i one ustąpić nie chciały, a władza podzielała ich poglądy, przeto po długich zwłokach torowniczka dróg nowych musiała podać się do dymissy, służąc za żywy przykład kobietom, skarżącym się na prześladowania płci swojej, na złą wolę względem nich społeczeństwa, że to nie ich nauka, nie ich chęć pracy choćby w zawodach nowych na przeszkodzie im staje i zraza ku nim, ale zuchwała mania wyzuwania się ze skromnej kobiecości. Tam, gdzie poważnie spokojna kobieta przejdzie szczęśliwie, znajdzie pracę i poszanowanie ogółu, szalona emancypantka rozprawiająca o prawach swoich, nie nie uzyska i jako niebezpieczna dla porządku publicznego istota, odsunięta od wszystkiego będzie. Nie więcej nie szkodzi rzeczywistemu postępowi kobiety na drodze pracy i nauki, jak takie, Maryi Walker podobne, niekonsekwentne i szalone osobistości.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

(Dokończenie).

Posępnie wygląda krajobraz afrykański pod koniec pory suchej, gdy pożoga przejdzie przez okolicę. Wypalona ziemia przybiera czarność węgla, a widok jej budzi tęsknotę za uroczym, zielonym stepem. Ale ten stan rzeczy nie trwa długo, bo jeden deszcz wiosenny budzi roślinność z letargu i już w miesiącu Wrześniu ukazują się na żółtawej płaszczyźnie kosmyki zielonej trawy; w ślad za niemi idzie różnobarwne kwiecie roślin cebulkowatych, a najobdobniejsze gatunki, należące do rodzajów: *Gladiolus*, *Sparaxis*, *Hypoxis* i wiele innych, które przez wiele lat zdobiły europejskie szklarnie i kwietniki, depce tutaj podróżny na każdym kroku. Najwięcej obfitują w kwiaty miejscowości niskie, niezbyt wilgotne, gdzie gleba jest pomieszana z piaskiem. Im bardziej zbliżamy się ku wyniosłym górcom, zamykającym wyżynę od strony wshodniej, tembardziej liczba roślin kwiatowych się zmniejsza, a na miejsce ich ukazują się trawy. Najwyższe wzniesienia góryste w górach Katlamba są zazwyczaj pokryte zarostem traw tak jednolitym, że sprawiają wrażenie naszych łąk podolskich porośniętych żytem lub pszenicą.

Jeżeli nie wyczerpałem jeszcze całego zasobu waszej cierpliwości, szanowni czytelnicy i jeżeli macie ochotę towarzyszyć mi w dalszej podróży, to, przebywszy najwyższe wzniesienia gór Katlamba, spuścimy się jeszcze na wyniosłe wyżyny Natalu, ażeby nad brzegiem morza Indyjskiego stanąć u celu podróży. Jestto okolica, o której wiele w ciągu ostatnich dwudziestu lat w Europie pisano z powodu korzyści, jakie miała obiecywać dla przedsięwzięcia kolonizacyjnych; a przesadne poniekąd opisy korespondentów angielskich ściągnęły już w te strony znaczne gromady przybyszów z za morza. Natal sprawia rzeczywiście pod względem krajobrazowym najkorzystniejsze wrażenie pomiędzy wszystkimi krajami południowej Afryki. Pod względem klimatycznym stanowi on jedną nierozdzielną całość z krainami stepowymi, któreśmy przed chwilą przebywali, ale góry Katlamba, których najwyższe wierzchołki wznoszą się na 11,000 stóp wysokości nad poziom morza, zbiegają tutaj w postaci górzystych tarasów ku morzu, a różnica we wzniesieniu spowodowała i odpowiednie różnice w zjawiskach świata roślinnego.

Zima jest tutaj również suchą a lato mokre, ale deszcze zaczynają padać o kilka tygodni wcześniej, a ilość spadłej wody jest daleko większą. Wszystkie najwyższe wzniesienia i boki gór są pokryte roślinnością zielną, nie różniącą się powierzchownością swoją od tej, jaką widzieliśmy za górami, ale trawnik tutejszy jest wogóle bogatszym w kwiaty, których liczba zwiększa się, im bardziej zbliżamy się ku morzu. Najwyższe wzniesienia gór Katlamba spadają z tej strony dość nagle na kilka tysięcy stóp, a jary i wszystkie zagłębienia między nimi obfitują w lasy. Lasy te składają się w przeważnej części z drzew drobno-listnych, zawsze zielonych, po części tych samych, jakie widzieliśmy na południowych wybrzeżach Afryki, ale charakter lasu ulega ważnej zmianie przez gromadne wystąpienie drobno-listnych, powiewnych akacyj, które nie pozwalają nam zapomnieć, że znajdujemy się jeszcze zawsze na obszarach stepowej Afryki. Ale równocześnie ukazują się po miejscach wilgotnych ponad potokami wspaniałe Azalie i Cussonie o liściach olbrzymich, wachlarzowato wcinanych, skupionych na wierzchołkach wysmukłych łodyg i przypominają nam, że zbliżamy się ku okolicom podrównikowym. Nie brak i tutaj pasożytnych storczyków, paproci i roślin wiciowatych; ale wogóle roślinność jest mniej bujną i mniej urozmaiconą aniżeli w górach Outenikwa.

A pomimo to lasy te sprawiają jeszcze korzystniejsze wrażenie od zarostów pokrywających boki dolin w średnim pasie kraju położonych, bo te składają się prawie wyłącznie z wyniosłych, ciernistych akacyj, rosnących zazwyczaj tak gęsto, że było zapędzone na paszę ginie w nich czasami bezpowrotnie. Ten jednolity zarost akacyj jest zarówno nużącym dla turysty jak i dla botanika, bo w cieniu drzew, oprócz kilku gatunków bujnych traw, nie prawie nie rośnie, a skały sterczące ponad lasem są jedynymi miejscowościami przedstawiającymi nieco więcej różnorodności. Po urwiskach skał rosną tutaj mięsiste Aloesy i Euphorbie; są one spokrewnione z formami południowymi, ale aloesy tutejsze mają łodygi wysokie na kilka stóp, a Euphorbie przybierają postać rozgałęzionych krzewów o gałęziach bezlistnych, mięsistych, zazwyczaj trój- lub wielokanciastych, nastroszonych długimi kolcami.

Zmienia się postać tych lasów dopiero nad morzem. Brzegi morza są w Natalu wszędzie porośnięte niezbyt szerokimi pasem lasów, a fale morskie rozbijają się w wielu miejscach o korzenie i konary drzew i zwilżają ich gałęzie. Wszystko, co wchodzi w skład tych lasów nadbrzeżnych, jest prawie wyłączną ich własnością i dlatego też i powierzch-

wność ich odmienną. Liczba gatunków bardzo wielka, a różnorodność postaci prawie niewyczerpana. Najróżnorodniejsze twory roślinne mieszają się ze sobą i tworzą chaos nieprzystępny dla ludzi i zwierząt, a napelniający trwogą niedoświadczonego przybysza. Za najbardziej charakterystyczną część składową tych lasów uważam drzewa figowe; gałęzie ich i łodygi wydają korzenie powietrzne, które, doszedłszy do ziemi, zagłębiają się w niej, zamieniają w nowe łodygi, pokrywają obficie liściem i przyczyniają się najwięcej do podniesienia chaotycznej dzikości tych lasów. Obok wielolistnych Aralij rosną tutaj rozliczne akacye i inne drobno-listne postacie, a wszystko poplątane siecią lianów tworzy gąszcz, przez który nie zdoła się przebić oko człowieka.

Gdzie dno morza jest płaskie a woda płytka, tam dwa gatunki drzew tutejszych (*Rhizophora* i *Avicennia*) oddalają się dość znacznie od brzegów, tworząc zarosty znane pod nazwą Mangłów. Wezwanie przyływu morza łodygi ich są zanurzone na kilka stóp w wodzie, a na gałęziach ich spoczywają nieraz znużone połowem jaskółki i inne ptactwo nadbrzeżne. Ale gdy odpływ nastąpi, woda ustępuje zupełnie, a po mokrej i błotnistej ziemi uwijają się wówczas liczne gromady płaskich krabów i kopia otworki w ziemi, w które chronią się spłoszone widokiem człowieka.

Gdzie lasy nadbrzeżne spinają się na przyległe pagórki, tam ukazują się zazwyczaj liczne okazy olbrzymiej Euphorbii bezlistnej. Łodyga jej dzieli się ku górze stopniowo na liczne, kolezate, sześciokątne gałęzie, a całe drzewo widziane zdaleka sprawia wrażenie przewróconego wąskiego ostrokręga; grupy tych kolezaty, bezlistnych Euphorbij, poplątane różnobarwnymi powojami uważam za najcharakterystyczniejszy rys roślinności nadbrzeżnej.

Lasy nadbrzeżne są wszędzie ulubionym schronieniem słońców i hipopotamów, przed niewielu laty widywano po brzegach takich zarostów olbrzymiego dusiciela (*Boa constrictor*) w okazach dochodzących do dwudziestu pięciu stóp długości, a gdzie wody rzek tutejszych podchodzą pod brzegi lasu, tam można i teraz jeszcze napotkać często wspartego o korzenie drzewa krokodyla, wygrzewającego się spokojnie na słońcu. Ale w ciągu ostatnich dwóch dziesiątków lat, kolonizacja sprawia w tej części Afryki szybkie postępy; lasy nadbrzeżne zostały silnie przetrzebione, słońce i hipopotamy wyniosły się w niezaludnione okolice na północ i na południe, a dusicielom wypowiedzieli koloniści srogą wojnę i nie pozwolili im nigdy dojść do tak okazałych rozmiarów. Zniknęły przedewszystkiem lasy okalające pagórki nadbrzeżne, a na miejsce ich ukazały się nieprzejrzane okiem łany trzciny cukrowej; pod boki plantacji wzniosły się ładne wille i ozdobne domki kolonistów, otoczone zazwyczaj ogrodami, w których banany, ananasy, papawy i inne płody okolic gorących rosną bujnie i nagradzają sownice trudy im poświęcane.

Do najpiękniejszych miejscowości w Natalu należą dolinki położone pomiędzy górami wznoszącymi się w niewielkiej odległości od brzegów morza. Brzegi potoków zamykają tutaj szeregi drzew najwyższej zieloności. Wśród ulotnych postaci drobno-listnych akacyj wznoszą się wysmukłe okazy dzikiej palmy daktylowej lub afrykańskiej Strelicii, nazwanej tutaj dzikim bananem; pojedyncze jej łodygi ciemno-czerwonej barwy, są gładkie, ale pokryte jasnymi pierścieniami znaczącymi miejsca odpadłych liści, a na wierzchołku każdej z nich rozciąga się wspaniałe wachlarz olbrzymich wydłużonych liści. W cieniu drzew rosną tutaj rozrzucone gromadki drzewiastej paproci (*Cyatea Dregeri*), odmiennej od tej, jaką poznaliśmy już przedtem, lecz niemniej ozdobnej, a inny rodzaj pa-

proci (*Aerostichum Tennifolium*) przybiera postać liana; sznurkowata jego łodyga oplata tutaj konary drzew i rozciąga dopiero w znacznej wysokości swe ozdobne, pierzasto-wcinane listowia. Widać tu już mieszaninę formacji podrównikowych z utworami okolic umiarkowańszych. Liczba roślin pasożytnych nie jest wielką, ale kwiaty tutejszych storczyków rozmiarami swemi, postaciami i barwą zbliżają się już więcej do form indyjskich.

Po bokach dolin spinają się do znacznej wysokości zarosty krzewów i niższych drzew, ożywione licznymi gromadami krzykliwych ptaków, a po wierzchołkach gór, pokrytych zieloną murawą czernieją drobne połkuliste chatki łagodnych i gościnnych Kafrów. Spoglądają oni spokojnie i bez trwogi na białych przybyszów i słuchają z zajęciem opowiadań o wielkich kraalach (wioska), znajdujących się po drugiej stronie wielkiej wody (morze), lecz nie stają o dobrodziejstwa, jakie im narzuca cywilizacja i nie korzystają z nich prawie wcale, bo potrzeby ich życia są bardzo ograniczone, a poczciwa ziemia zaspakaja je w zupełności. Prowadzą oni ten sam sposób życia, jaki ojcowie ich prowadzili przed wielu tysiącami lat, a spokój i swoboda, jakich używają na rodzinnych swych niwach zadawalniają ich najzupełniej i dla tego witają z wyciągniętą do uścisku prawicą podróznego, bo tego wymaga prawo gościnności, ale ten sam łagodny i gościnny Kafr staje się najszerszym potworem i ludożercą, ile razy ręka blado przybysza chce go pozbawić jego ojcowizny.

DROBNE LISTKI.

Wynalazek „Polki.“ Gdyby nie Czechy, możeby świat dotychczas jeszcze „Polki“ tańczyć nie mógł. Oto co o szacownym wynalazku, jakim Czechowie zasłużyli się XIX-mu stuleciu na polu choreografii, podaje Wurzbach w tomie XXXV swojego *Słownika biograficznego* (Biographisches Lexikon). Pewnej niedzieli biedna służąca, Anna Szeziakówna w Kościele, w Czechach, pierwsza zaśpiewała i zatańczyła to coś, co później „polką“ nazwano. Wurzbach nie badał bliżej daty, i w przybliżeniu jako rok powstania tańca wskazuje 1830-ty. Jakiś muzykant Józef Neruda, spisał melodyę zaimprovizowaną przez Szeziakównę, poczem nowy taniec dostał się do Pragi. W Pradze nazwano wytwór fantazyi wiejskiej „pulką“ (połową) od panującego w tym tańcu połowicznego *pas*; z czego wynikałoby, że nazwa „polka“ nie wspólnego z imieniem Polki nie ma. W r. 1839 nauczyli się polki Wiedeńczycy. Tanecmistrz Raab z Pragi wprowadził następnie nowy wynalazek do Paryża. Z Paryża polka wyruszyła już na podbój całego świata i podbiła go rzeczywiście. W r. 1862 konsul generalny austriacki w Londynie zgłosił się do Kościoła, z prośbą o wskazanie miejsca pobytu wynalazczyni. Może ją jakie honory spotkały, ale o tem Wurzbach nie wspomina. Tyle o tej ważnej zdobyczy cywilizacyjnej XIX wieku.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Zamek Daly.**

TREŚĆ. Elżbieta Barrett-Browning (życiorys), przez Maryę Ilnicką. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Do Anioła Stróża, poeta, przez Władysławę Bentkowską. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z dzieła przyrody, (dokończenie). — Drobne listki.